

portret

25

# Chiny jak narkotyki

Anna Dobiegała

W ubiegłym roku minęła setna rocznica śmierci autora powieści „W osiemdziesiąt dni dookoła świata”. Z tej okazji Państwowy Instytut Wydawniczy przygotował serię „80 światów”, której nazwa pochodzi od tytułu zbioru esejów Julio Cortáзара „W osiemdziesiąt światów dookoła dnia”. Do tej pory w serii ukazały się powieści: „Przyjaciel świata” Paula Bowlesa, „Zazi w metrze” Raymonda Queneau oraz rozmowy z popularnym muzykiem Manu Chao przeprowadzone przez Philippe’a Manche. Wszystkie te książki łączy motyw podróży. Edward Kajdański, malarz oraz autor leksykonu Chin i wydanej w ubiegłym



roku książki „Długi cień wielkiego muru. Jak Polacy odkrywali Chiny”, pod pseudonimem Aleksander Franchetti opublikował w serii „80 światów” powieść „Tybetańska księżniczka” o historii i kulturze okupowanego od 1959 roku po dziś dzień przez Chińską Republikę Ludową Tybetu – buddyjskiego kraju ludzi żyjących w harmonii z naturą.

Akcja „Tybetańskiej księżniczki” rozpoczyna się w 1979 roku, kiedy jej autor, a jednocześnie narrator i główny bohater, zostaje powołany na stanowisko konsula w konsulacie generalnym Polski w Kantonie, na południu Chin. Wtedy natrafia na trop przyjaciółki z lat dzieciństwa i zarazem swojej pierwszej miłości. Dziewczyna miała na imię Mimi, co w języku chińskim znaczy Tajemnica. Alex widział się z nią po raz ostatni tuż po jej siedemnastych urodzinach. Od tamtej pory nie miał z nią żadnego kontaktu. Pełne imię i nazwisko Mimi brzmiało Emilia Caganow. Jej matka była Rosjanką, ojciec zaś Buriatem, potomkiem książęcego rodu Tangutów. Dziewczynka urodziła się w Hajlarze, ale została ochrzczona w rosyjskiej prawosławnej cerkwi, a w wieku czternastu lat oddana do greckokatolickiego Konwentu Świętej Urszuli w Harbinie. Matka próbowała wychować Emilię w kulturze europejskiej, ale chłodne stosunki, jakie między nimi panowały, sprawiły, że dziewczynka przesiąkła kulturą tybetańską, w której wychował się jej ojciec. Mimi czuła się Azjatką. Wyznawała szamanizm i odłam buddyzmu, zwany lamaizmem albo buddyzmem tybetańskim. Modliła się do mongolskiej Bogini Miłosierdzia Tary, wierzyła w reinkarnację

i podróżowanie w czasie. Ćwiczyła jogę, uprawiała medytację, nosiła magiczne amulety i twierdziła, że jest wcieleniem zmarłej przed trzema wiekami tanguckiej księżniczki Sundari. Mimi w miejscu intymnym miała dziwną ciemną plamę barwy wiśniowej, kształtem przypominającą lecącego ptaka. Znamię tybetańskich księżniczek.

Alex postanawia odnaleźć przyjaciółkę z dziecięcych lat, a przynajmniej dowiedzieć się o jej losach po wyjeździe do Hongkongu. Pewnego dnia otrzymuje tajemniczą wiadomość od niejakiego Maxa von Rimsa. Okazuje się, że mężczyzna to Maksim Pietrowicz Smirnow, jego sąsiad z Harbina, rzemieślnik, który prowadził warsztat wyrabiający akordeony. W rozmowie z Alexem Smirnow przyznaje, że był podwójnym agentem rosyjskim i angielskim zaplątany w historię z trzecią bombą atomową zrzuconą przez Amerykanów na Tokio. Od niego Alex dowiaduje się, że Mimi zginęła w wypadku samochodowym. W zamian za pewną, dość niebezpieczną, przysługę Maks umożliwił Alexowi spotkanie z córką Emilii, Catherine Gladstone. Kate okazuje się kolejnym wcieleniem księżniczki Sundari...

„Tybetańska księżniczka” Aleksandra Franchetti to wielowątkowa i napisana z rozmachem powieść o dorastaniu w trudnych czasach drugiej wojny światowej, upadku Cesarstwa Chińskiego i narodzin maoistowskich Chin, za to w pięknej scenerii mandzurskiej tajgi i stepów Mongolii. Wszystkie opisane w książce zdarzenia, włącznie z intrygującą historią trzeciej bomby atomowej, są fikcją literacką, ale

przedstawioną na tle prawdziwych wydarzeń historycznych. „Tybetańska księżniczka” jest sentymentalną podróżą do bezpowrotnie utraconej krainy dzieciństwa. Jest jednocześnie opowieścią o niemożności odzyskania minionego świata, który ugiął się pod naporem nie tylko czasu, ale i historii, jak tybetański klasztor Amban Sume w Hajlarze zniszczony podczas bombardowania miasta przez Armię Czerwoną. W tym klasztorze Mimi i Alex podczas wspólnych wakacji znaleźli posąg księżniczki Sundari i jej ukochanego Dzanabadzara.

Powieść Aleksandra Franchetti porusza też problem poszukiwania własnej tożsamości. Alex ma polskich przodków, ale z Polską łączy go niewiele, urodził się bowiem i dorastał w Mandzurii. Przyszedł na świat w Azji, ale wychowywany był w kulturze Europy. Dla niego określenie przynależności kulturowej i narodowej nie było łatwe, tym bardziej, że biele posługiwał się kilkoma językami. Do tego wszystkiego dochodziła fascynacja lamaizmem, która wiązała się z miłością do wyznającej tę religię Mimi. Koczownicze ludy Azji wierzą, że „ojczyzna człowieka jest miejsce, w którym pierwsza kropla jego krwi wsiąkła w ziemię”. Zgodnie z tym wierzeniem ojczyzną Alexa była Azja, dlatego mimo europejskiego wyglądu i sposobu bycia miał azjatycką mentalność i honor Samuraja.

Podobno to, co dobre dla wszystkich, nie jest dobre dla nikogo. „Tybetańska księżniczka” Aleksandra Franchetti przeczy tej zasadzie. Każdy odnajdzie w tej powieści coś dla siebie. Kobiety – romans, męż-

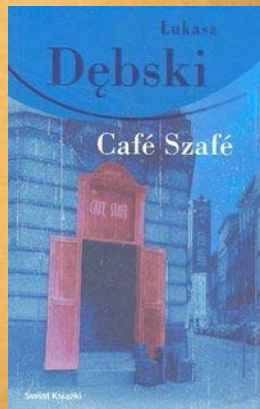
czyżni – powieść przygodową, dziennikarze – elementy reportażu, a wszystkie „mole książkowe” kawałek dobrej literatury. Celem serii „80 światów” jest pokazanie innego kraju i jego kultury nie oczami turysty, który robi zdjęcia i porównuje ceny produktów, ale oczami podróżnika pragnącego poznać i zrozumieć odmienność świata, a przede wszystkim na zawsze zachować w pamięci jego ulotne piękno. Aleksander Franchetti nie tylko zatrzymał dla siebie piękno Chin, ale przekazał je czytelnikom swojej najnowszej powieści, bo wie, że „Chiny potrafią zafascynować i uzależnić”, że „są jak narkotyki”. „Tybetańska księżniczka” każdego wciągnie w ten nałóg.

Aleksander Franchetti,  
Tybetańska księżniczka,  
Państwowy Instytut Wydawniczy,  
Warszawa 2006.

# Bo książkę czasem można poczuć...

Nina Olszewska

Bohater „Café Szafé” dzieli się pełnym spostrzeżeniem, pod którym chyba każdy, mniej lub bardziej sporadyczny, „książkożerca” podpisze się obiema rękami: zawsze kiedy czyta się o jedzeniu, pojawia się uczucie wzmożonego łaknienia. Zawsze. Nigdy, przenigdy, nie uwierzę, że można spokojnie przebrnąć przez literacki opis kolacji, obiadu, śniadania czy nawet małego „lanczyku” i nie zgubić wątku wiodącego pod wpływem tego nagłego wybuchu rojeń natury kulinarnej. Oczywiście, jest to w pełnym stopniu uzależnione od prezentowanego przez czytelnika chwilowego



stopnia najedzenia, ewentualnie od rodzaju opisywanej potrawy, bo chociażby literatura obozowa czy lagrowa nie dostarcza już takich wrażeń, choć motyw jedzenia jest tam przywoływany.

Może to dosyć prymitywne spostrzeżenie dotyczące literatury, ale sygnalizuje ono szerszy problem fizycznego odczuwania książek. Nie tylko na uczucie głodu ma wpływ zglębiana proza. Często książka wywołuje też inne wrażania zmysłowe czy stany emocjonalne. Zdarza się, że świat stworzony przez pisarza ma tak sugestywnie zbudowany nastrój, klimat, że aż nabiera mocy: mocy oswojenia czytelnika. Wymaga to jednak sporego talentu, pewnej niezwyklej właściwości stylu autora. Są książki, które się po prostu czuje, książki, które tworzą własną odrębną czasoprzestrzeń, zachęcającą lub zniechęcającą, ale nigdy anonimową.

Właśnie „Café Szafé” jest książką, w którą czytelnik może się schować, uciec, książką, która stanowi odrębny kosmos. W „Café Szafé” każdy, od pierwszej strony, od pierwszej linijki tekstu, czuje się jak u siebie. Bohaterowie natychmiast stają się swojscy i bliscy w swej pokracznej niedoskonałości. To nie jest książka, to jest miejsce, to jest czas i ludzkie, i atmosfera, do której chce się wracać

Autor ma ciekawy, bardzo „kumplowski”, gawędziarski właśnie, sposób pisania, taki, że natychmiast wiadomo: po przekroczeniu progów jego książki, od pierwszej linijki, nikt nie będzie zwracał się do niego per „pan”. To książka pozwalająca złapać oddech, uciec daleko,

a jednocześnie jest na tyle krótka, że ten efekt nie gubi się gdzieś w natłoku stron i nie zmienia się w przyciężki nadmiar.

Tacy autorzy nie biorą się znikąd. To nie jest pierwszy tytuł Łukasza Dębskiego, choć nieco zaskakujący na tle jego wcześniejszej twórczości. Na początku były mrówki... choć nie tylko. Były też krówki i wiórki wiewiórki, a nawet pociąg z literkami, czyli wierszyki i bajeczki dla dzieci. Tak zaczynał. Postanowił jednak zatroszczyć się także o nieco starszych czytelników i opublikował książkę, którą w dużym skrócie można określić mianem zbioru felietonów, esejów czy gawęd, opatrzonych wspólnym tytułem „Café Szafé”.

Tytuł nie jest przypadkowy, to nazwa krakowskiej kawiarni, której autor jest współwłaścicielem. Kawiarnie od czasów prehistorycznych odgrywają zasadniczą rolę w literaturze. Jako miejsce spotkań, wymiany myśli, źródło pomysłów i inspiracji, często podkręcanych alkoholem, co nie jest tajemnicą. Café Szafé nie jest jednak mekką literatów mniej lub bardziej sfrustrowanych, jej klientela składa się z ludzi niezwykłych w swej zwyczajności, pojawiają się tam zarówno naukowcy, pracownicy uniwersytetu, jak i dzielnicowy czy Łucjusz - miejscowy dres. Nad całym tym zamieszaniem czuwa właściciel, który jeszcze na początku swojej kawiarnianej przygody wierzył, że jest to intratny interes.

Książka to zbiór opowieści, spostrzeżeń, pejzaży krakowskich malowanych słowem. To zapis fragmentów ludzkich biografii, czasem

zabawnych bardzo, czasem nieco refleksyjnych. Nie jest to utwór aspirujący do tytułu prozy wzniosłej czy ambitnej, ale przecież nie zawsze w literaturze o to chodzi.

Przede wszystkim: nie jest to literatura anonimowa. Nieśmiało nawiązuje do nieco zapomnianej tradycji gawędziarstwa, nienaturalnie angażuje do jednej z pobocznych ról samego Mrożka. Jednak przede wszystkim: w Café Szafé czytelnik wypoczywa... i nabiera straszliwej ochoty na kawę.

Lukasz Dębski,  
Café Szafé,  
Wyd. Świat Książki,  
Warszawa 2006.

# Powtórka z Chmielewskiej

Anna Rau

Ów tytuł bynajmniej nie deprecjonuje „Powtórki z morderstwa”, czyli nowej powieści Moniki Szwaji. Wręcz przeciwnie, uważam, iż postawienie jej w jednym szeregu (nawet pomimo ugruntowanej już obecności na polskim rynku wydawniczym) obok takiego nazwiska jak Joanna Chmielewska, nazwiska przez duże N – to duży komplement. Za starych (dla jednych dobrych, dla innych – niedobrych) czasów na kolejne książki Chmielewskiej czekało się jak na święta. Wszystkie egzemplarze tak wznowień, jak i „nówek”, były błyskawicznie rozchwytywane, w bibliotekach kompletnie rozczytywane, a nawet przez niektórych pasjonatów – przepisywane. Na



czym polegał fenomen kryminalów Chmielewskiej? Konstrukcja każdego z nich ściśle trzymała się wzorcowego modelu powieści kryminalnej: akcja rozgrywała się (przy ścisłym zachowaniu porządku przyczynowo-skutkowego) na znanym polskim terenie, czarne charaktery były soczyste, pozytywni bohaterowie w zdrowy sposób jednoznaczni, a przy tym sympatyczni, morderca (przestępca) do końca nieodgadniony, organa śledcze (wtedy jeszcze milicja) prawe i godne zaufania, dialogi błyskotliwe, nieudziwnione i z lekką nutką humoru. Obecnie w tego typu literaturze z upodobaniem łamie się konwencje, zasady i stereotypy: bohater pozytywny – nie wzbudza sympatii lub sam ukrywa swe mroczne tajemnice, zły – mimochodem prowokuje litość, policja – albo jest gromadą nieudaczników, albo stadem krwawych psów wojny, a sam wątek kryminalny nieprzyjemnie ociera się o patologię (jakby się komuś kiedykolwiek znudziła stara, dobra zbrodnia). Chmielewska wiedziała, co dobre. Co prawda z wiekiem jej pazur trochę stępsiał, klisze powieściowe obecnie lekko się zaszębiają, ale i tak pozostała polską mistrzynią klasycznej powieści kryminalnej. Czytelnicy nie wytykają pisarce niedociągnięć we współcześnie wydawanych pozycjach właśnie przez wzgląd na legendarne „Wszystko czerwone”, „Całe zdanie nieboszczyka” czy „Wszyscy jesteście podejrzani” (o kapitalnym „Lesiu” nie wspominając).

Monika Szwaja również wie, co dobre i w świetny sposób połączyła tymże szlakiem. Do tej pory przedstawiła czytelnikom kilka,

bardzo przyjemnych zresztą, książek z nurtu tzw. literatury kobiecej, w „Powtórcie z morderstwa” zaś rozszerzyła ów repertuar o wkład kryminalny. We wstępie powieści autorka wyznaje, że napisała tę książkę „wylącznie dla zabawy”, i wyszło... co wyszło. Trochę w tym literackiego krygowania, gdyż niezależnie od pisarskich intencji po prostu widać, jak p. Szwaja wykonała kawałek solidnej roboty. Akcja powieści rozgrywa się w znanym z jej poprzednich książek (aczkolwiek niekoniecznie dla czytelnika obowiązkowych – każda z nich jest osobną całością) światku mediów – wśród pracowników szczecińskiego oddziału regionalnej TVP. Efektem dłuższego kotłowania się w jednym ciasnym pomieszczeniu gromady zaafierowanych realizowanym na żywo programem osób jest trup zolzowatej szefowej, znaleziony w ogromnym kartonowym pudle. Zabić mógł niemal każdy, bardzo wielu chcialo – wkracza policja.

Centralną postacią męską akcji jest komisarz Tomasz Ogiński, ognisty jak jego nazwisko, o umyśle zimnym i nieugiętej woli, miłośnik spokoju, pustych pomieszczeń mieszkalnych i doskonałej jakości sprzętu audio. Tęskniący za kotem. Jego kobietą przeciwwagą jest dziennikarka Ilonka zwana Karambol, specjalistka od programów motoryzacyjnych, namiętna miłośniczka swego fioletowego jeepa oraz właścicielka mopsa o imieniu Gizmo. Gizmo zaś to pełnoprawny bohater owej historii i to bynajmniej nie dalekoplanowy, gdyż posiada tzw. charakter, specyficzną urodę (nie na darmo nosi imię najsłynniejszego

z gremlinów) i umiejętność zgrabnego eksponowania owych zalet ciała i ducha. Ten psi bohater wzbogaca liczbę plusów na liście pod tytułem „Dlaczego warto czytać książki pani Szwej”.

Chwilami życie może być lekkie, łatwe i przyjemne, a „Powtórka...” ewidentnie pomaga utrzymywać ten stan, skoro śmiesz, wprawia w dobry humor, wręcz inspiruje (jeśli ktoś koniecznie potrzebuje filozofii płynącej z tego kryminałka). I jeszcze ta funkcja Literackiej Poradni Psychologii Codziennej! – mądrzejszej niż tak liczne w kioskach gazety dla kobiet, a dostępnejszej w odbiorze od późnonocnych programów pseudopsychologicznych... Poradnia ukazuje, jak sobie radzić w sytuacjach typu: chwila życiowego zakrętu u młodej obiecującej kobiety pracującej, jak najmniej stresowe przeżycie porzucenia przez męża, posiadanie psa z nerwicą i objawami zwierzęcego ADHD, mobbing ze strony szefa, fascynacja uczuciowa z gatunku „prawie niemożliwa do spełnienia”, spełnienie (jednak) i płynące z tego coraz większe komplikacje natury bytowej, nadopiekuńcza sąsiadka-swatka, swatany maminsynek-sąsiad, konieczność wizyty w upiornym domu starców, mnożące się wokół delikwenta na śledeczego straszliwe poczynania domniemyanych morderców (gdyż liczba podejrzanych z rozdziału na rozdział wzrasta) itp.

Polonistów zaś z pewnością zainteresują wplecione przez autorkę w dialogi (w naturalny i nienachalny sposób) elementy żargonu środowiskowego, polszczyzny swobodnej a codziennej i przede

wszystkim interesujące neologizmy (typu „wygugłować” – wyszukać w Googlach). Tak więc czasu spędzonego przy tej bezpretensjonalnej i przede wszystkim nie pretendującej do jakiegokolwiek wyższej filozofii książce nie można nazwać straconym. Mówiąc o filozofii mam na myśli, że niejednokrotnie pewne książki rekomenduje się jako posiadające dwójakie znaczenie, głębokie i wiele mówiące – przy blahej lub dość plugawej treści. (Dlaczego tak wielu twórcom trudno zwyczajnie się przyznać, iż napisali (po prostu, z potrzeby serca, talentu, czy ‘czegoś-tam’) pornola – lepiej jest stwierdzić, że to pornol o głębokim podłożu psychologicznym z odniesieniami do realiów społeczno-politycznych i daleko idącą tradycją kulturową.)

„Powtórka z morderstwa” to „dobra” (cytuję), „niewinna” (cytuję) „rozrywka”. I wystarczy. Naprawdę nie trzeba co dzień czytać „Bukolik” Wergiliusza czy prozy Prousta, aby być inteligentem. Nie trzeba też wypluwać z siebie jadowicie krwistych opisów orgii słowno-emojonalnych, aby być godnym pisarzem. Co prawda słyszy się też głosy bardziej wysublimowanych czytelników, smakoszy literackich można powiedzieć (szczególnie – jeśliby rzucić „grubem słowem” – tzw. męskich szowinistów), iż nigdy nie zniżą się do czytania czegoś tak „babskiego” jak proza p. Szwaji: z przyjaźnią, miłością, gromadą inteligentnych kobiet, dobrze wychowanych i nie rzucających bez potrzeby mięsem mężczyzn oraz bez ani jednej sceny gwałtu ze szczególnym okrucieństwem w treści. Takim osobom powiem tylko, że dla innych z

kolei owe cechy są bardzo pociągające.

Na okładce książki wydawcy popelnili zachętę przedstawiającą liczbę wydanych i „wyczytanych” egzemplarzy powieści p. Szwejki (tytuł). To było niepotrzebne – i bez tego jej książki same się bronią wartką akcją i humorem zgodnym z polską inteligencją oraz mentalnością. Podsumowując chyba można sobie trochę pomarzyć (w żadnym razie nie deprecjonując poprzednich powieści pani Szwejki) – a gdyby tak autorka pozostawiła literaturę „ściśle kobiecą” i wyspecjalizowała się w dziełach z wątkiem kryminalnym? Miejsce po Joannie Chmielewskiej w panteonie polskich kryminopisarzy wbrew pozorom pozostaje puste (Marek Krajewski nie zapełnił przecież całej niszy zapotrzebowania czytelniczych). Świat byłby o jeden ważny ułamek lepszy, gdyby zamiast marnych morderstw literackich mnożyły się w nim powtórki z „Powtórki z morderstwa”.

Monika Szwejka,  
Powtórka z morderstwa,  
Wyd. Prószyński i S-ka,  
Warszawa 2006.

# Guru i seksoholiczka

Anita Frankowiak



Tytułowy pismak to Adam Bukowski – dziennikarz, który robi karierę w Paryżu. Fabuła nie jest skomplikowana. Losy wszystkich bohaterów scala postać Doroty May – dziennikarki zamordowanej w niewyjaśnionych okolicznościach. Cóż z tego, jeśli zakończenie to przesył zamierzeń autora. „Jak miał teraz składać w głowie obraz Doroty, który nagle rozleciał się na wiele kawałków,

a one w żaden sposób do siebie nie pasowały? Jeszcze niedawno zdawało mu się, że jej wizerunek, ten z dawnych lat, jest w jego pamięci kompletny. Zamazany, niezbyt już wyraźny, ale pełny. Sądził, że dopiero później Dorota stała się osobą nieznaną. Teraz zaczynał się bać, że naprawdę nie znał jej nigdy. Nawet kiedy zdawało mu się, że wie o niej wszystko. Nie wiedział. Okazywało się, że w jego układance brakowało wielu puzzli” (s. 46).

Kryminalne opowieści są ciekawe wtedy, gdy oprócz niewiadomych mamy jeszcze kontrowersyjne postaci. Lecz jeśli w zakończeniu sensacja ustępuje miejsca wizji, fantasmagorii i czytelnik ma wrażenie, że mógł zostać „naciągnięty” na opowieść, to już cały smaczek mija. Wiem, wiem, mogę sobie wybrać zakończenie. A Yvonne (początkowa scena pożegnalna ze skweru przy Pont Neuf nad Sekwaną) to potencjalna Dorota. Mogę ją więc uśmiercić i przyjąć opowieść linearnie, albo zastosować czas sinusoidalny i przeskoczyć ze skweru wprost do łóżka Bukowskiego. Marek Lubaś-Harny nie narzuca rozwiązania. Wybór pozostawia czytelnikowi.

Śmierć Doroty May odsłania najbrudniejsze, najbardziej nie-ludzkie i skorumpowane powiązania świata mafii ze światem elit

rzządzających – poczynawszy od ministrów, a skończywszy na redaktorach naczelnych i funkcjonariuszach policji. Oplecieni tą pajęczyną intryg zapadamy się w bagno krakowskiego (czytaj: każdego) środowiska. Bo w każdym ktoś daje i bierze. Wszędzie intryga goni sensację. Trzeba więc docenić autora za wnikliwość i zmysł obserwacji oraz język i humor.

Afera związana ze sprzedażą kamienicy Liebeskindów otwiera nieprzebrane bogactwo lajdactw. „Dziś jest wojna kwitów. Wszyscy muszą mieć kwity na wszystkich. Kto nie ma kwitów, nie jest bezpieczny, więc się nie liczy” (s. 58) – komentuje sytuację ojciec Doroty – człowiek starego systemu. Sprawa Poloneza i jego pozorna śmierć przynosi akcję do Stanów Zjednoczonych i łączy z osobą Esther. „Zaczynający się właśnie proces był tylko drobnym odpryskiem innych, dużo poważniejszych spraw” (s. 60). Esther Goldman – przyjaciółka Doroty- zaczyna romans z Bukowskim i wplątuje go w świat narkomanów, przemocy i afery seksualnej.

Nasz bohater nie rozumie jednego: „dlaczego ludziom wydawało się, że tak łatwo można nim kierować. Bo nie dał sobie rady w Paryżu? Bo stracił pracę? Bo znalazł się na marginesie? Przecież tak nie było. Po

ostatecznym zerwaniu z Krasoniem jeszcze tego samego dnia dogadał się co do współpracy z szefami kilku lokalnych gazet. Jego nazwisko za niewielkie pieniądze okazało się dla nich wystarczająco atrakcyjne” (s. 79). Nasz dziennikarz pociesza się swoją książką (nominowaną do Złotego Pióra). Seks z Esther jest przyjemny, ale nie bardzo namiętny. Nie fascynuje go. Wciąż ma w głowie Dorotę.

Może więc zrobić jedno – znaleźć mordercę, a przy okazji pokazać skalę korupcji. Tak też się dzieje i wtedy właśnie Dorota staje się Yvonne. „Ale chciałabym, żeby wszystko między nami było jasne – powiedziała. – W Paryżu to Yvonne z tobą sypiała nie ja” (s. 328). To za czytelne rozwiązanie. Wręcz podane na tacy.

„Możemy zamknąć naszą opowieść” (s. 327) – stwierdza Bukowski. Tak po prostu – jak kryminal z dobrą puentą.

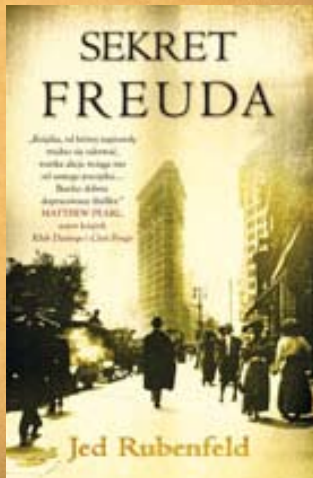
Marek Harny,  
Pismak,  
Wyd. Prószyński i S-ka,  
Warszawa 2005

# Urzekająca nuda

Monika Stańczak

„Sekret Freuda“ to debiut literacki Jeda Rubenfelda, wykładowcy prawa na Uniwersytecie Yale. Tematem jego pracy magisterskiej na uczelni Princeton był Freud. Z kolei na uczelni Julliard School of Drama studiował Szekspira. Wszystko to połączył w raczej przeciętnym thrillerze historycznym z Zygmuntem Freudem i diabolicznym mordercą w rolach głównych.

Akcja przenosi nas do roku 1909 ukazując fikcyjną opowieść o przebiegu jedynej, tajemniczej wizyty wybitnego



niemieckiego psychoanalityka w Stanach Zjednoczonych. Tę podróż Freud wspominał niechętnie, podczas gdy jego wykłady, tam właśnie prowadzone, przyciągnęły rzesze słuchaczy, a psychoanaliza zdobyła niebywałą popularność. Warto wspomnieć, że jest również interesujący opis Nowego Jorku z początku XX wieku, gdzie na prawie pięćdziesięciu stronach powieści, dzieją się rzeczy straszne i mroźne, które w żyłach. W głównej mierze to właśnie one skupiają uwagę czytelnika.

Następnego ranka po przyjeździe Freuda do Nowego Jorku, w rezydencji Balmoral ginie w bardzo dziwnych okolicznościach młoda kobieta. Zostaje znaleziona w swoim luksusowym apartamencie, związana i uduszona. Wydaje się, że przed śmiercią była biczowana. Niedługo kolejna spadkobierczyni ogromnej fortuny zostaje napadnięta przez tajemniczego mężczyznę. Niebieskookiej piękności ledwie udaje się uciec z życiem. Odnaleziono ją w rodzinnym domu, przywiązaną do żyrandola, przerażoną i poranioną. W efekcie przeżytego szoku dziewczyna traci pamięć i głos. Policja gorączkowo szuka sprawcy. Tymczasem doktor Freud przemierzający ulice Nowego Jorku doświadcza dziwnych i podejrzanych zdarzeń. Komuś zależy na tym, by skrócił swoją wizytę w tym miejscu. Rektor uniwersytetu, na którym psychoanalityk miał wygłosić cykl wykładów, jest naciskany, by je odwołał, ktoś próbuje zastraszyć również tłumacza książki Freuda. Całość bardzo przewidywalnie łączy się, gdy Freud zostaje poproszony o pomoc w odzyskaniu pamięci ofierze tajemniczego oprawcy. Czy jednak uda

mu się pomóc tej młodej, aroganckiej bogaczce, której przeszłość rodzinna jest równie skomplikowana, jak jego własna?

W fikcyjną fabulę wplecione zostały prawdziwe osoby, wydarzenia i sytuacje z Hamletem i elementami psychoanalizy w tle. Wszystko zapowiada się fascynująco. Ciekawa okładka ma w sobie coś, co przyciąga, zachęca by podążyć za tajemniczym mężczyzną w głąb miasta. Sama książka zdaje się jednak gubić to bardzo pozytywne pierwsze wrażenie. Jednych urzeknie podróż po złośliwościach, maskach i podstępach ludzkiego umysłu. Dla innych jednak lektura okaże się za ciężka, a momentami wręcz nużąca. Zbyt wiele tu czysto akademickich rozpraw dotyczących Freuda, czy Junga, które całkowicie nie komponują się z tajemniczością i dreszczykiem emocji, których oczekujemy po dobrze napisanej powieści popularnej z historią kryminalną w tle.

Jed Rubinfeld,  
Sekret Freuda,  
przeł. Paweł Cichawa,  
Wyd. Sonia Draga,  
Warszawa 2006.

Okaleczone. Milczące cierpienie  
kobiet – dwa spojrzenia  
(o „Życiu ukrytym w słowach”  
Isabel Coixet i „Grbavicy” Jasmili  
Žbanić).

Ewa Siuda

Ale mimo że mam wokół siebie  
mężczyzn, których kocham,  
ciągle podskórnie postrzegam mężczyzn  
jako wrogów.

Vedrana Rudan

Jak opowiedzieć o wojnie, której bolesne ślady widoczne są do dziś? Jak wyrazić cierpienie, które bezpieczniej jest ukryć głęboko? I jak w tym wszystkim uniknąć przesady, patosu, martyrologii? Na te pytania odpowiadają swoimi filmami Isabel Coixet i Jasmila Žbanić.

Oba filmy przyjmują perspektywę kobiecą: kobiety-bohaterki i kobiety-reżyserki. W „Grbavicy” zapowiedzią jest już scena początkowa: mozaika kobiecych twarzy, głównie uśpionych, zasłuchanych w pieśń oraz dopełniają ją klamrowo ostatni kadr, dość podobny, ale o

odmiennej emocjonalnej wymowie. W „Życiu ukrytym w słowach” od początku widzimy główną bohaterkę – jej stan „uśpienia” to odcięcie się od rzeczywistości, w którym pomaga jej wada słuchu – gdy nie chce słyszeć, wyłącza aparat. Esmę („Grbavica”) i Hannę („Życie ukryte w słowach”) łączy to samo traumatyczne doświadczenie – obie przeżyły wojnę bałkańską, obie są ofiarami okrucieństwa serbskich żołnierzy. Esmie o tamtych wydarzeniach przypomina dwunastoletnia córka, owoc czetnickiego gwałtu; Hannie - bliźny na piersiach po ranach zadanych przez gwałciiciela.

Wydaje się, że w Hannie ból jest ukryty głębiej, dokładniej zagłuszony – bohaterka jest tak zamknięta w sobie i swoim dokładnie izolowanym świecie, że jedyne, co pozwala nam dowiedzieć się o niej cokolwiek, to obserwacja behawioralna. Dostrzegamy jej natręctwa, jej silnie zrutynizowaną codzienność, ale trudno nam ocenić jednoznacznie, co je spowodowało. Esma reaguje na wiele bodźców, które łatwiej nam zinterpretować – nie znosi widoku grubasa z owłosioną klatą i złotym łańcuchem, grube wargi i paluchy budzą w niej obrzydzenie, zaczepki podpitych żołnierzy podrywających koleżankę z pracy sprawiają, że nie może opanować płaczu. Banalna sytuacja – wyjazd córki na szkolną wycieczkę – wywołuje również serię zdarzeń, które wyprowadzają Esmę z równowagi. Zaświadczenie, że ojciec był szahidem – bohaterem walczącym za Bośnią, wiąże się z obcięciem kosztów wycieczki (Esma podejmuje dodatkową pracę, a do coraz bardziej na-

chalnych próśb córki o dokumenty odnosi się z niechęcią); w końcu ukrywana latami prawda wychodzi na jaw. Słowa „czetnicki bękart” brzmią dla córki (Sary) strasznie i niemal niewiarygodnie.

Obie bohaterki nie wierzą w to, że opowiadanie o własnym bólu, rozdrapywanie ledwie zablźzionych ran może pomóc. I z obu ten ból wydobywa się nagle... Jedna reaguje gwałtownie, sprowokowana przez córkę. Z drugiej cierpienie sęczy się na zewnątrz powoli, próba zwerbalizowania jest uzupełniana symbolicznym gestem. Odmienne są sytuacje Esmy i Hanny. Esma nigdy nie wyjechała z kraju, który przypomina jej o krzywdzie i cierpieniu; żyje w jednej z dzielnic Sarajewa, gdzie podczas wojny mieścił się obóz dla jeńców bośniackich. Niemalże nieustannie potyka się o „pamiątki przeszłości”, stara się żyć normalnie, zapewnić córce przyzwoite warunki. Ale żyje z bolesną prawdą, którą ukrywa przed Sarą, nie mówi o niej nawet na spotkaniach w ośrodku pomocy dla kobiet, gdzie jej wizyty są wyłącznie formalne (zgłasza się po zasilek). Dopiero w scenach finalnych filmu bohaterka przeżywa „oczyszczenie”. Hanna izoluje się skutecznie od tego, co ją otacza – najpierw w pracy, potem na platformie wiertniczej, na którą decyduje się wyjechać. Codzienna, bezpieczna rutyna i samotność ratują ją przed rozpamiętywaniem przeszłości i własnego cierpienia. Długo nie dopuszcza do siebie nikogo – więź przyjaźni mogłaby doprowadzić do odkrywania tego, co powinno pozostać głęboko. I do tych zepchniętych w obszar niepamięci wspomnień udaje się dotrzeć Josefowi. Hanna

także boi się zaufać mężczyźnie; obawia się, że kiedyś nie będzie potrafiła poradzić sobie z wydobytym na nowo bólem. Ale ten mężczyzna jest jak ona „okałeczony” – i fizycznie, i psychicznie. Hanna zdobywa się na jeden największy akt zaufania, choć nawet on nie jest w stanie zburzyć do końca bariery i dystansu, jaki tworzy wokół siebie. Co łączy Esmę i Peldę – jedynego mężczyznę, jakiemu udało się do niej zbliżyć? Porozumienie, podobieństwo sytuacji, „braterstwo dusz” – poszukiwanie szczątków najbliższych. Dla Hanny i Esmy (oraz innych kobiet z jej otoczenia) są sposoby wyrażenia bólu, znaczące więcej niż słowa, przynoszące oczyszczenie – gest lub śpiew. Są też inne sposoby okazywania bliskości i zrozumienia, stojące ponad mówieniem.

Akcja „Grbavicy” toczy się w środowisku bośniackich kobiet. Utrwalony w nich wojenną traumą podział na czerń i biel, mężczyźni – oprawcy, kobiety – ofiary, znajduje odzwierciedlenie we współczesności. Mężczyzn prawie się nie portretuje – jeśli już się pojawiają, są przemysłnikami, oszustami, brutalami, pijaczkami. Wszystko jest tutaj sytuacją „po Bośni”. Akcja „Życia ukrytego w słowach” rozgrywa się w oderwaniu od tej rzeczywistości; jedynym jej świadectwem jest postać Hanny.

Co łączy te filmy? Nie oglądamy obrazów masakr, walk, przemocy, gwałtów; tego wszystkiego, co wiąże się z piekłem wojny. Obraz jugosłowiańskiego konfliktu jest zakorzeniony w psychikach kobiet – bohaterek, wrośnięty w ich codzienność (przeszłą, teraźniejszą i przy-

szłą). Na pierwszy plan wysuwają się relacje z ludźmi – więź Esmy z córką i rodząca się przyjaźń z Peldą, a w przypadku Hanny – szczególna więź z Josefem, powolne otwieranie się na innych ludzi. Obserwujemy, jak głęboko zranione kobiety stawiają pierwsze kroki na drodze uwolnienia od trwającego latami cierpienia, odkrycia prawdy, oczyszczenia. Dla Esmy „krokiem milowym” jest nagły konflikt z córką i ujawnienie, wykrzyczenie bolesnej prawdy; dla Hanny – dłoń niewidomego Josefa na jej poranionej piersi, „czytająca” blizny.

„Zanurzona” Esma i „wykorzeniona” Hanna. Codzienność jako nieustanny powrót i jako ucieczka od niego. Nienawiść przerodzona w miłość...

**koniec**

**25**